

ZATARG

Przemijalność bez zębarki czasu. Chwasty obok krawężnika. Zmętnienie Szklistego ciała. Rozbiegane kropki na deptaku, szczipione barki przy zakosie Wąskiego brzegu. Nurkowanie w obcej butli miasta. Zawrót jak kompas bez Osi. Zatarg na końcu każdej, wymienianej na odległość, uwagi. Nie Musimy dalej ze sobą jeść, mieszać tego drętwego prosa ze strużynami, Lewitować w przetykach kostniejących świtów, po swoich spadkach,

Odczepiając klamry z lin, pozostając w holowniczej pozie aż do wygośnięcia Akordu w przeponie. Pięść płaska jak szpachla i uchylona studzienka, Z której beka echo martwych kominów. Zostań więc na tej belce, rozhuśta Cię obtępiana ściana, zadzierzgnie zwrot, wypłuty jak osad z dna szklanki, Będziesz przez to miał pewniejszy start w spadzisty wierzchołek tego Koszącego cię lotu, jak w pętli skakanki. Zbełtany, porzucony ongiś schówek,

Gdzie mieścił się cały świat, zaczniesz ci od nowa towarzyszyć aż po zacerowany Kres, prostopadle prosty, zatęchły jak kratka wywietrznika, prowadzącego W zapadły dech, skrzesany jęk. Nie możemy tedy znaleźć kosza pełnego Wiatru, odłamki nie zostały bowiem rozsiane, nie wnikaj więc w te ścierpłe Grzbiety, przyczepy drgań. Jestem na zawsze już w stałym przeplocie, Dwoistość próżni okalającej każdy rów, jak opuchnięte niebo, zarasta

Odkrywany na nowo kąt wejrzenia w dławiącą miotaninę, mającą swój Harmonijny cel w dobywaniu kolejnej, suchej gardy, niczego innego niemającej Już do zamaskowania. Dopiero bez nikogo będziesz kimś, kogo nie zepchnie Ciebie, obok powodzi, na krańcu pustyni. Kość śladu prowadzi w załom śnień. Knebel haku kładzie cię i podciąga. Nie doczekałeś się trwalszych ruin, Rozpraszałeś się brakiem w ujęciach tych zaśniedziałych urn, oddalających

Cię od najprostszych kanw. Pomiar zacieku na kopii mapy przyniesie jeno kilka Nowych bagien, skąd zaczniesz się odliczać nowe mary, gdzie nastąpi schodzenie W ten najbliższy silos zmian. Cement jak mech będzie rósł między palcami, Kiedy odprowadzisz stukot, szybując jak cierń. Nie przetykaj mi żył, nie przetaczaj Sinych drzazg. Smuga uchodząca spod kotwicy dachu nie pokryje łachy Rozsypanego tutaj żwiru. Błędny szczep, chybiony dobór, igła jak ostatnia kra.

UDZIAŁ I KŁY

Ostateczne rozbitcie burty, rozdzielenie skalpelem zacieklej odmowy zrośnięcia,
Owej tlenowej błony, pod jaką żyliśmy jak brodawki na skórze, w hodowlanym
Stanie naszych rojeń o lepsze doszukanie się w sobie pokładów niespróchniałych
Trosk, wylew wybroczyn już dawno zasechł na wskazówkach gwiazd, horoskopy
Pełne były bowiem wyfadowań tak ciągłych, że sejsmograf wejrzeń
Przeciążony był do cna, w ścierpłych wiązkach musował starty kamień
Tych węgielnych dni, z których wyrastaliśmy jak odbicie spękanego pnia.
Wychył się więc jeszcze ten jeden raz w moją startą stronę, przejmij tę galopadę
Miałkich i skończych spraw na tyle mocno, bym odczuł ulgę braku sensu
W tym skancerowanym dyszlu wodzącym mnie za dnia po pierzejach cienistych
Wklęśnięć, pełgających jak fioletowy ług świtu po nieporysowanym szkliwie
Odmownej odpowiedzi. Żal płowych wskrzeszeń jak niedopięty żagiel trzepocze
W oku jak ogień w korcu trwonionego zbytku, żal skopany niczym narożnik muru
Przez ostry cug, w tym miejscu, gdzie wchodząc na trzecie piętro, wchodzę już
W odmieniony świat, próg sufitu staje w poprzek jak styl, sypią się z każdego
Zawieszonoego rękawa ości dłuższe niż łuski, zawęża się krok do granicy wrzasku,
Sprasowanych pretensji w jeden klocek ruchu w błotnisty piach, mikę bezbrzeżnych

Plam. Moja czerwona zapalniczko, płoń doskonale aż po skraj zimna, do wyczerpania
Swego rozchwianego czubka płomyka, aż po obniżenie najbliższego poziomu,
Kiedy to przepala się różdżka haku, nie wiszę już nad żadną wycieraczką mroku,
I bieleje to spadanie coraz bieglej, wytrąca się magnez z klatki krwi, pęta pary
Dławią tęż tej kołyski, która rzucona jak holownicza lina, nie dosięga grani przepaści
I zrywa się niczym wodowana szalupa. Podzielcie mnie, odcinki, na tyle sprawnie,
Ażebym na końcu okazał się niepodzielnym pasmem wszelkich utrat, wziętych
Szturmem przez zwycięstwo już niczego innego, jakowegoś schowka jaźni, gdzie
Roznosi je huk z rozsadzanych bólem skroni, na wywłaszczonym przez udział dnie,
Niemającym wszak żadnych już szans na zwrot choć jednego kła. Byliśmy bowiem
Tylko jak fragment nieistniejącej od początku rozterki, każdy szczebel był domkniętym
Skończeniem, pęcherzykiem jonu akcji, o którą szło jak o przemyt najbardziej
Lapidarnych sekwencji wszelkich praw, podług jakich ostatecznie chciano nas
Rozwiązać, ku dalszym granicom skierować, byśmy mogli mieć w sobie już tylko
Ten ugor zejść w zapyłony odmęt, wyszarzałych krwinek mając pod dostatkiem,
W puste kabusze godziny. Ciąg kaskających czterdziestu pięciu lat nie mija za

Zakrętem tej osiwiatej jamy horyzontu, zgrzyta w nim drut o spód rondla, lubimy
Cośkolwiek z niego zjeść, w palenisku topi się nawiana skądś folia. Trzy czwarte
Tego życia było odpychaniem krawędzi za krawędzią, a każdy brzask po bój i znój,
W mierzwie wiekopomnych wspomnień, z których wyłania się teraz opar zapalny jak
Iskra jaskółki pikująca w przegub oka. Koszą nas wieści, inni domagają się twardych
Faktów, nie każdemu bowiem jakoś leci, gładko jest tylko z górki, na torfowisku
Mieszkamy, pijąc dymiące wnyki *single malta*, w akademiku o nazwie *Desant*. Cóż
To jest za sen, w którym wszystko zwiduje się jako dawno byłe, minione minionego roku,
Szpadel każdego kroku do węzła tej liny, którą wymachiwano ci po przyjeździe do
Miasta siedmiu wzgórz, filharmonicy grali raptownie, większość słuchających była
Oniemiała, zachwyt nie opuszczał bodaj nikogo, z północy szedł łagodny halny,
Drabiniasty wóz telepał się w żyłach, rozprzęgał mnie kikut tego ścieśnionego miejsca,
Przed nami była wieczorynka z grupą przyjezdnych mar. Żaden totem wskazań,
Żadne lastryko chceń, niczego więcej nie będziesz już miał, nawet w tym dziarskim
Przeładunku blizn, wyłanianiu się celownika większego niż szyb, by trawić to tracenie,
I wytracać samo trawienie, w natychmiastowym odzewie zaniku, kiedy już na nic nie
Jest bynajmniej za późno, w tym trwaniu ustalania ustania, gdy nie tylko wyje wiatr.

DARŃ

Nie chciałeś, no to masz. Abuliczny wrzątek skrzeczy jak mokry
Dziób szarej piany. Niecały dzień, a już stoisz nad grobem. Ryty
Sztynnymi przesłonami mur. Właściwie nie masz niczego, czego
Nigdy nie chciałeś. Nie dawateś. Nie odbierałeś. Chciałeś, no to wiesz.
Którego do końca nie było? Ciągnięcie tego chłodu jak pustych
Losów. Bez łebka wygrywasz. Wgryza się śwąd. Kapusta ugotowana
Na schwał. Mówcie sobie dużo dobrego, zaplatajcie uskok, te

Pręty są z gazy. Benzyna pod strumykiem. Masz znicz, nie masz
Nic. Mam to więc na widelcu. Cel kluczy jak grosz w skarbonce,
Od wewnątrz się rygluje, pełno pasków wfruwa przez lufcik, okna
Od tego jarząco patrzą pod nogi, topią krok. Tam jesteś. Wizyta
Jak wręg. Kropi denkami zjaw. Każda realna jest jak w przetyku
Ość. Mroźny skrzyp. We władaniu czymś, zawładnięty sobą.
Pudełko sztormowych zapatek na krypcie. Wyrok zmian. Darta

Darń. Nieliczny ład zszywany jak cug. Gubi cię ta kra. Obwodnica
Wlecze za sobą nieskopaną w doły resztę. Rozświetlony ostęp,
Kupowany kupon. Będziesz od tego blisko do samego końca, który
Nie zetnie się w tobie, zbrylowaną krew zatoruje szkwał, rozpuści
Się sakiewka dachu, poniesie to spad, ściek jak skośne wejście
Zapuści się aż za korzeń. Datownik odbity bezbłędnie na rogu znaczka
I koperty. Kwili w niej pęd serca. Zakorkowany haust. Mży tego mać.